jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 19 czerwca 1938 r. Nr. 40

DZIECI WOŁYŃSKIE W WARSZAWIE.



Do Warszawy przybyła z Gródka Wołyńskiego wycieczka dzieci szkół powszechnych nagrodzonych ra kinkursie Komunalnych Kas Oszczędności pod hasłem „Oszczędzaj — poznasz Polskę". Pobyt dzieci w stolicy został zorganizowany staraniem Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich. W czasie zwiedzania przez wycieczkę gmachu Sejmu i Senatu. wyszedł do dzieci Marszałek Senatu p. Aleksander Prystor, przewodniczący Rady Głównej Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich, który przez dłuższy czas rozmawiał z uczestnikami wycieczki.

Na zdjęciu — Pan Marszałek Prystor w gronie dziatwy wołyńskiej.

ATAK GAZOWY

Tadzik wpadł do domu przed samym obiadem prosto z zebrania koła szkolengo LOPP. i już od progu zawołał:

—Dziś będzie atak gazowy! Samoloty będą bombardowały miasto. Wszyscy mają wieczorem siedzieć w domu i zgasić światło, bo inaczej...

Tu nagle zamilkł. Do tej pory nie zastanawiał się nad tym, co będzie, jeżeli mieszkańcy nie zastosują się do instrukcji LOPP. ogłoszonych w gazetach i rozplakatowanych po mieście. Bo przecież atak lotniczo-gazowy miał być tylko „na niby". Samoloty miały tylko reflektorami sygnalizować, że ich załogi widzą oświetlone domy i ulice. Te sygnały miały oddawać rzucanie bomb. Więc — czy wszyscy zechcą wziąć udział w tej zabawie w wojnę?...

Trzeba zapytać ojca. Ojciec Tadzika pracuje w fabryce Martensa na nocnej zmianie. Jeżeli ćwiczenie lotniczo-gazowe ma się udać, fabryka też musi na czas alarmu przerwać pracę.

— Czy tatu pójdzie wieczorem do roboty?

Ojciec uśmiechnął się.

— Pójdę — odrzekł. — Ale z tym.

— Cóż to takiego? — zainteresował się Tadzik.

To była maska przeciwgazowa

— Nadzwyczajne! Więc wszyscy usłuchali wezwania LOPP. i traktują je poważnie.

— Naturalnie, że tak — powiedział ojciec. W nowoczesnej wojnie każdy obywatel musi być żołnierzem i każdy będzie narażony na niebezpieczeństwo. Przecież nieprzyjacielskie samoloty mogą bombardować i zatruć gazem nawet daleko od frontu wojennych położone miasta. Dlatego właśnie każdy musi umieć bronić się przed atakiem gazowym. Po to są takie ćwiczenia jak dziś. Jeżeli wszyscy zastosują się do instrukcji LOPP., nieprzyjaciel będzie miał twardy orzech do zgryzienia.

— To ja nie będę mógł tatusia odprowadzić — zmartwił się Tadzik.

— Będziesz mógł. Jest tu i dla ciebie maska przeciwgazowa.

To było wspaniałe! Tadzik ucałował ojca i popędził do wszystkich znajomych w całym domu, aby podzielić się z nimi nowiną.

— Atak gazowy... Alarm lotniczy... Schrony... Patrole sanitarne... Bomby.. — o niczym innym nie mówiło się tego popołudnia

Gospodarz domu, pan Kapusta, oświadczył, że zwalnia wcześniej swoich robotników i subiektów w przedsiębiorstwie i sklepie rzeźnickim na parterze. Kazał też wyprzątnąć piwnicę na schron.

Pan Wolski, stolarz z drugiego piętra, zrobił i wymalował tablicę z napisem: TU SCHRON PRZECIWGAZOWY. Powiesili ją z pomocą Tadzika na bramie.

Pani Trojanowska zakleiła pa-

skami papieru w swoim sklepiku spożywczym.

Każdy przygotowywał się do tego ataku.

Wieczorem Tadzik poszedł z ojcem do fabryki. U wejścia przy budce telefonicznej stał posterunek alarmowy i czekał samochód z chorągiewką Czerwonego Krzyża.

Dzienna zmiana robotników już opuszczała fabrykę. Tadzik pożegnał się z ojcem i ruszył wraz z innymi z powrotem w stronę miasta.

Minęli jedną i drugą przecznicę. Na niektórych bramach wisiały tablice z napisami: SCHRON PRZECIWGAZOWY. Na chodnikach były wymalowane wapnem strzałki i napisy „Do posterunku sanitarnego“ „Do schronu“, „Do automatu telefonicznego“. „Do apteki“.

Wyły długo, przeciągle. Do ich wy

Wtem zahuczały syreny fabryk cia przyłączył się po chwili daleki jęk dzwonów kościelnych.

— A-larm! Alarm! — jęczały dzwony.

— Aaaalaaarm! — wyły syreny.

Nagle pogasły światła latarń ulicznych, wszystkie razem.

Ktoś wołał:

— Do schronów! Wszyscy do schronów!

Tadzik wraz z innymi wbiegł do bramy i po krętych schodach zszedł do piwnicy. Było tu pełno ludzi. Jakiś kolejarz stał pod wysokim, zakratowanym okienkiem i patrząc w górę obserwował przeciągające nad miastem samoloty.

— Leci pięć kluczy po trzy maszyny — informował obecnych. — Nie widzą ulic, bo mają zapalone tylko lampki pozycyjne: zielone i ... skrzydłach i białe na ...erach ogona.

— Oho! — zawołał podoficer stojący obok kolejarza. — Teraz świecą reflektorami. To pozoruje bombardowanie.

— Gdzie oni są? — zapytał ktoś z tłumu.

— Pewnie nad Podgórzem. Ktoś tam musiał zostawić światło w oknach.

— Przy prawdziwym ataku już by nie było Podgórza — powiedział jakiś robotnik. — Przez takiego jednego zginęłoby paręset ludzi...

Do drzwi ktoś się dobijał.

— Otworzyć! Inspekcja Obrony Przeciwlotniczej — rozległ się głos.

Wszedł oficer i dwóch cywilnych z opaskami na rękawach.

— Czy ma tu kto maskę przeciwgazową? — zapytał jeden z nich.

— Ja mam — Tadek wysunął się naprzód.

— Wiesz, gdzie jest fabryka Martensa?

— Wiem, proszę paan.

— No to leć tam. Tu masz kartkę do dowódcy patrolu sanitarnego. Oddasz ją kierowcy samochodu Czerwonego Krzyża. Samochód stoi przed bramą fabryki.

Tadek wymknął się z piwnicy i pobiegł szybko w ciemności dobrze znanymi ulicami. W pięć minut był na miejscu.

— Nareszcie — powiedział kierowca odbierając kartkę z rozkazem. — Mamy gdzieś jechać, a nie wiem dokąd, bo telefon zepsuty. Tam ktoś nagle zachorował... Ulica Wrocławska — przeczytał stłumio-

nym przez maskę głosem.

— Wie pan, gdzie to jest? — spytał Tadzik.

— Wiem, wiem. Dziękuję ci. Wracaj do domu. Aha — przypomniał sobie. — Jak się nazywasz?

— Tadeusz Wyręba.

— To twój ojciec, Jan Wyręba, jest majstrem w mojej fabryce?

— Tak, odrzekł Tadzik, zaskoczony pytaniem. — To pan... to sam pan dyrektor? — zdumiał się poznawszy wreszcie głos pana Martensa.

— No, tak, ja — zaśmiał się dyrektor pod maską. — Przecież jestem członkiem LOPP.

Samochód zawarczał i ruszył z miejsca. Tadzik zamyślony już, jak wiele może dokonać dobra organizacja i karność.

— Nieprzyjaciel będzie miał twardy orzech do zgryzienia — przyszły mu na myśl słowa ojca.

Janusz Meissner.

Murzyn Tabu

Tam, w najstarszej części sadu,
za pasieką i za drogą,
jest kryjówka osłonięta,
w gąszcz splątana — niedostępna!
Starsi odkryć jej nie mogą,
z dzieci, nikt się nie wygada.
Jabłoń tworzy dach namiotu,
a od drogi rosną krzaki...
Znalazł ją na wiosnę Toto,
w kącie koło żywopłotu,
nad zielonym żabim stawkiem.
Tam to dzisiaj, po zabawie,
Został Tabu, mały murzyn,
co na słońcu chrapnął w trawie.
— Podwieczorek — woła niania,
więc, buch, wszystko do fartuszka,
Toto pędzi aż się kurzy
i — zapomniał o leniuszku.
(liść łopuchu to zasłaniał).
Spał aż cicho przyszedł zmierzch.
Wielkokie wyszły żaby,
z pod zielonych nenufarów,
narobiły pełno gwaru,
rozmawiają — rech, rech, rech. —
Słowik zbudził się w jabłoni.
A zmierzch tańczy po ogrodzie. —
Pootulał w muślin graby,
miękkie z tiulu tka zasłony,
złote słońce zgasił w wodzie,
tańcząc lekko po ogrodzie. —
W starej, dworskiej oficynie,
w wielkiej kuchni, na kominie,
na kominie nad okapem,
obudziła się markiza. — .
Zmrok zapada, noc się zbliża,
więc puszysty grzbiet wygina,
i przeciąga miękkie łapy.
Z poduszeczek wyszły szpony.
w szparkach oczu złoto błyska.
szerść się jeży na ogonie,
purpurowy ziewa pyszczek.
Po zachodzie, nad wieczorem,
kiedy ziemię mrok osłoni,
każdy kot na łowy kroczy,
więc zapala wielkie oczy,
jak zielony reflektory,
idzie czarna, zwinna, cicha,
zapolować na słowika.

(Słowik śpiewa na jabłoni)
A tymczasem tam, nad wodą,
jakieś dziwne słychać głosy.
noc błękitną sieje rosą,
w czarodziejską głąb ogrodu.
Obudził się mały murzyn,
patrzy — gwiazdy oczy mrużą.
Ponad brzegiem dżungla dzika,
zamiast trawy i łopuchów.
w wodzie — paszcze krokodyli?
palma wielkie liście chyli,
pełno szmeru — pełno ruchu.
Coś wśród gąszcza się przemyka,
może jakie dzikie zwierzę?
(Murzyn był podszyty tchórzem,
Więc go chwyta przerażenie,.
Szare dziwne, krążą cienie, —
to olbrzymie nietoperze.
Leci potwór złotooki
lśnią świetlików latarenki.
Nagle! — słyszy miękkie kroki.
Patrzy — patrzy — to pantera
prosto się ku niemu skrada,
co w gałęziach za nim śpiewa.
pod słowiczej takt piosenki,
„Co tu robić!" — „Zje mnie teraz",
zrywa się nieszczęsny Tabu,
w wielkich susach mknie do drzewa
Wleźć nie może „biada, biada",
pień za gruby boababu,
więc ze strachu zemdlał Tabu
i w srebrzystej leży rosie.
Wtem na szczęście! odsiecz. odsiecz!
W ziemię dudnią bose pięty,
w żywopłocie gałąź trzaska.
Toto zmyka, jak najęty,
a za Totem mknie fasola.
(Uciekł z łóżka, więc go goni)
Patrzą — murzyn leży w trawie,
pod samiutkim pniem jabłoni
W tym jest jakaś tajemnica,
nie tu został po zabawie,
oczy dziwnie powywracał.
Białka świecą do księżyca,
ale... znalazł się ladaco! -
murzyn Tabu opowiadał
swe przygody niesłychane.
„Ależ Tabu! — co ty gadasz!!
to jest przecież nie do wiary!
Skądżeś zmyślił bajek tyle
Dżungla, palmy, krokodyle,
baobaby i pantery?"

MARIA KOŁODZIEJSKA

Jutro wakacje!

— Jurek! Stasiek! Chodźcie zaraz do nas!

— A co chcecie!

— Naradzamy się jak spędzimy waakcje.

— Jest się nad czym zastanawiać. Mnie ojciec zabiera ze sobą w lipcu w Góry Świętokrzyskie, a potem będę u ciotki pod Mławą — rzekł Jurek.

— A ja — powiedział Stasiek— pewno nigdzie nie pojadę, to będę grać od rana do wieczora w piłkę nożną i będę chodzić co dzień do kąpieli.

— To każdy potrafi — zauważył Bolek, najwyższy i pewno najstarszy z grupki chłopców — ale tu przecież chodzi, o toż żeby coś pożytecznego robić, a nie tylko się wałęsać...

— Bo wiecie, że Bolek z tym raz

mawiał z panem kierownikiem — objaśnił pucołowaty Józio.

— Pan kierownik mówił — podjął Bolek — żeby w naszej klasie zaproponować chłopcom takie spędzenie wakacji, by z tego był pożytek i dla nas i dla szkoły.

— A co my takiego możemy robić?

— Pan kierownik powiedział, że moglibyśmy pomóc mu w gromadzeniu zbioów przyrodniczych, których szkoła jeszcze nie ma i na które trudno dostać pieniądze. Pamiętajcie przy tym, że w listopadzie będziemy mieli obchód 20-lecia Niepodległości. Dobrze byłoby tak spędzić wakacje, aby i one dały nam materiał do obchodu szkolnego.

— Jeżeli chodzi o zbiory, to ja mogę w Górach Świętokrzyskich nazbierać bardzo dużo minerałów, bo przecież tam jest moc różnych skał i rud — odezwał się Jurek. — Byłem już tam dwa lata temu. Gdy będę z tatusiem robić wycieczki bliższe i dalsze, to mogę w plecaku z każdej takiej wyprawy coś przynieść.

— To świetnie! — rzekł Bolek. — I jeszcze jedno mógłbyś robić: pan kierownik mówił, żeby ci, którzy będą odbywali wycieczki, zapisywali sobie różne szczegóły. Na podstawie tego będziecie mogli potem, po wakacjach, opisać zwiedzane okolice. Najlepsze wypracowanie byłoby może odczytane na otwarciu świetlicy albo i drukowane — pan kierownik jeszcze nie wie, jak to będzie.

— Jurek będzie w Górach Świętokrzyskich, to może robić, ale ja nie będę miał co opisywać ani zbierać — zauważył z żalem Stasiek.

— A właśnie, że miałbyś dużo. Czy już koniecznie musisz całe dnie kopać piłkę? Ja też lubię grać w piłkę nożną, ale uważam, że i na inne zajęcia powinien się czas znaleźć. Czy nie mógłbyś robić wycieczek w bliższe okolice i tak samo sobie notować? Nawet pan kierownik mówił, że dobrze by było, gdyby paru chłopców zwiedziło nasze okolice, bo to bardzo by się przydało do obchodu szkolnego. Z tymi chłopcami, którzy by się tego podjęli, chciałby pan Rogalski porozmawiać i ułożyć z nimi plan takich wycieczek.

— No, to ja gotów jestem na to — oświadczył zadowolony Stasiek.

— I ja też nigdzie nie wyjeżdżam — dodał pucołowaty Józiek — więc mogę to samo robić. A oprócz tego będę ćwiczył na strzelnicy, bo muszę zdobyć O. S.

— A ty, Stefek? — zapytał Bolek piątego chłopca, szczupłego bruneta.

— Ja? Ja jeszcze nie wiem, gdzie będę, ale pewno pojadę na wieś do wujostwa, którzy mieszkają blisko Puszczy Kampinowskiej, koło Modlina.

— To ty byś mógł zająć się gromadzeniem i suszeniem liści, traw i kwiatów do zielnika szkolnego. Tylko musiałbyś porozumieć się najprzód z panem kierownikiem, jak i co zbierać.

— Mogę i to, ale wolałbym łowić owady do zbiorów, bo to wiem, jak się robi. A ty Bolek, czy wyjeżdżasz dokąd.

— Jadę ze starszym bratem w lipcu do Sandomierza statkiem, a

potem jedziemy w górę Sanu kajakiem. Będziemy robić wycieczki, więc też będę sobie notował... Wrócę w połowie sierpnia, to się z tymi, co pozostaną, porozumiem No. więc sztama?

— Sztama — potwierdzili chłopcy. — Ale może by się dało jeszcze inych chłopców namówić do takiego spędzenia wakacji? — zaproponował Jurek.

— Pewno, że tak zrobimy — odpowiedział Bolek. — A co by to było, gdyby tak cała klasa do naszego projektu się przyłączyła?:

— Myślę, że nasza szkoła stałaby się prędko wzorową.

— Byczo by było, gdyby 11 listopada uznali dla innych. Albo i szkoła!...

— Zaraz by nam na to co się zowie dla świetlicy dali. O ho— dzwonek.

— No, to jazda biegiem do szkoły, a w czasie pauzy bierzemy się do innych chłopaków, by do naszej paczki przystali.

KARABIN DLA WOJSKA OD DZIECI POLESKICH.



Poleskie dzieci szkolne, z powiatu prużańskiego wręczyły jednemu z warszawskich pułków piechoty, ufundowany przez siebie z najdrobniejszych składek karabin.

Na zdjęciu grupa małych ofiarodawców w otoczeniu oficerów i żołnierzy pułku. W środku grupy przedstawiciel dziatwy poleskiej trzyma w ręku ofiarowany karabin

NA POŻEGNANIE.

Na schyłku rok szkolny!
Toż tylko dni trochę,
a zamkną za nami się klasy —
i każdy z was wolny,
jak ptaszę to płoche,
wyfrunie na letnie wywczasy!

Być może, nie każdy
do wioski pośpieszy,
nie każdy rwać będzie z łąk kwiecie!
Lecz wszyscy, jak jeden,
w ogromnej tej rzeszy,
gdziekolwiek w tej porze będziecie —

pamiętać musicie
o jednym, jedynym
zadaniu, co ludzi wzbogaca
że Dolę w tym życiu
wywalcza się Czynem,
a czynem — wysiłek i Praca!

Więc nawet w wakacje
(nikt tego nie zgani!)
zaglądać z ochotą do księgi, —
a z czasem mi rację
przyznacie, kochani,
że wiedza — to źródło potęgi!!

E. Kłonicki.

WAKACJE

**Ach, wakacje, koniec nauk,
to rzecz przecież znakomita,
na swobodzie przez dzień cały,
na wsi hasać chcę, i kwita
Można od samego rana,
chodzić prawie bez ubrania,
i po ciepłej brodzić rzece,
i po łąkach się uganiać,
tu dopiero radość — wiecie.
Prosto z grządki mieć sałatkę,
prosto z sadu mieć owoce,
na werandzie jeść obiadek
i spać słodko całe noce,
przy donośnym żab rechocie.
A przy śpiewie skowronkowym,
wstawać rano, wesół zdrowy!
No, a w lipcu jak to bywa,
iść na pola, iść do żniwa,
i na wozie pełnym zboża,
do stodoły jeździć można.**

Do Czytelników „Jutrzenki"

Dzisiejszy numer „Jutrzenki" jest ostatni przed wakacjami. Redakcja życzy więc naszym miłym czytelnikom wesołego i zdrowego spędzenia wakacji.

Do zobaczenia za dwa miesiące!

REDAKCJA „JUTRZENKI"